

Jakton



MARIA KONOPNICKA

Jakton

Nie zawsze tak się nazywał. Duży, mały w miasteczku pamięta, że dawniej wołano na niego Lejba Rabinowicz. Tego jednak dawnego nazwiska swojego nie nosił z tak wysoko podniesioną głową, jak dziś nosi swoje przezwanie.

Czy skrzynka ze szkłem, którą cały dzień dźwiga na schylonym grzbiecie, zrobiła się lżejsza? czy jemu skąd mocy przybyło? Niewiadomo; ale wyprostował się jakoś, urósł jakby, chałat ściślej podpasał, czapkę nawet w tył więcej zasuwa, odkrywając czoło wązkie a wysokie i cienkie, proste, czarne, srebrzące się już tu i ówdzie włosy. Nawet długie jego buty, z pod zatkniętego za pas chałata widne, inaczej jakoś zdają się wyglądać. W miasteczku nieraz błoto takie, że Boże ratuj, a Lejba schludny, czysty, jakby w niem nie grzęznął, tylko sobie po kamyczkach wybranych chodził. Aż dziw ludziom poprostu.

Dawniej, jego ciemna, rzadka, ostro zakończona broda ledwo w szabas podnosiła się tak wysoko i drżała w sobie, jakby od słów cicho szeptanych; ledwo w szabas oczy jego zmrużone, złotawe, tak daleko gdzieś, tak uparcie patrzyły przed siebie... Teraz na każdy dzień on już taki; na każdy dzień po miasteczku chodzi, jakby ciągle świątki miał w duszy, choć chleba lekko nie je, a i ten ościsty bywa i czarny i gorzki.

A zgarbi się czasem, brodę opuści i wzrok w błotnistej uliczce utopi, to niechno tylko z za węgła gdzie, albo ciemnej sieni, wyrostek jaki krzyknie za nim: »Jakton! « — to Lejba wnet się pod skrzynką swoją prostuje, twarz mu zachodzi jakby światłem jakim, a spojrzenie jego zmrużonych, złotych oczu, wysoko, gdzieś, ponad dachy domostw biegnie, gdzieś! nad dach bóżnicy nawet... A przecież to nazwa wcale nie zaszczytna. Mały, duży wie, że „Jakton” znaczy poprostu: błazen. Ot, durny taki w sobie, a nawet ze wszystkim waryat. Nierzadko się też zdarza, że razem z temsłówkiem polecą za Lejbą garść piasku, błota, albo ostry kamyk; nierzadko trafi go nawet. Ba! cała „Chewra-Kedisza”, co to umarłych obmywa i grzebie, pod nogi mu pluje, że już o kahalnych nie wspomnę. A jemu tylko ta śpiczasta broda drgnie i zatrzęsie się w sobie, tylko mu po twarzy przeleci błysk nagły, a zresztą, jakby nie do niego, tak prosto idzie w swoją drogę, stukając swoim kijem czeczotkowym. Mówią, że on sam dawniej do „Chewry-Kediszy” należał i umarłych grzebał. Ale go odłączyło od siebie to stowarzyszenie. Tak samo też zrobiła „Chewra-szomri-szabas”, co wysyła w piątek wieczór swych obwoływaczy, aby stukali we drzwi, przypominając, że czas zapalać szabasowe światło; i „Chewra-talmud-thora”, co posyła biedne dziatki do chederu i „Chewra-nertumet”, co dzień i noc lampę w synagodze pali.

A wszystkiego tego narobił Froim Porter swoją głupią śmiercią. Głupią i zgoła niezbożną, a nawet przekłątą.

Froim Porter zdawna w miasteczku siedział, krawcem był, a grosz zarobny u Szlejfmana składał. Było tego najpierw kilka, potem kilkanaście złotych, aż po latach nędzy i pracy do tysiąca kilkuset doszło. Szlejfman tym groszem obracał, woły sprzedawał, skupował, po jarmarkach wielkich jeździł, ufność w miasteczku miał.

A był Froim Porter wdowcem i dawno odumarły go dzieci jego, synowie i córki. Sam był, a sieroctwo swoje cieszył tym groszem zarobnym, jakby dziećmi i wnukami swymi. I więcej nawet. Bo w życiu swoim widział, że dzieci i wnuki rosą po to, aby odejść rodziców swoich a dziadów i dla siebie żyć; a ten grosz jego krwawy niósł po to, aby do niego, za czasem wrócić i w słodycz mu się obrócić i starość jego podpierać.

I miał Froim siostrę Chaję, za talmudzistę wydaną. Ten nad księgami cały dzień się kiwał, nie pytając z czegoby chleb jadł i z czegoby jadły dzieci i żona jego. A dzieci kupa było i przybywało ich coraz.

Ale wiedziała o tem wszystkim Chaja. Wiedziały o tem jej nabrzmiałe i podbite nogi, jej trzęsące się i wychudłe ręce, jej zapalone chciwością i latające jak jaskółki oczy, gardło zachryple od ciągłego szwargotu, czoło nie odsychające ze znoju, myśl nie spoczywająca w swej trosce ni we dnie, ni w nocy.

Wiedziała o tem wszystkim Chaja, typ małomiasteczkowej żydówki, młodej jeszcze a już zwiędłej, za groszem dyszącej, umiejącej o zimnym kartoflu z cebulą, albo obwarzanku żyć, pracować, rodzić dzieci, wybiegać za zarobkiem na wsie okoliczne choćby od północkska, jednym śledziem i funtem chleba żywić rodzinę dzień cały i jeszcze dziecko karmić wyschlą swoją piersią.

Pomimo tych wysiłków, bieda budziła Chaję i bieda spać ją kładła; bieda chroniczna, wzmagająca się każdego pierwszego dnia w miesiącu, kiedy trzeba było dwa ruble komornego z nędznej izby płacić.

Te dwa ruble to był moment tragiczny życia Chai.

W wigilię już dnia biegła roztargniona, wół obłąkana prawie, myśląc się w rachubie jaj, które zbierała tydzień cały po wsiach, nie umiejąca wydać reszty, głodna, spragniona, ledwo że odziana, szturchająca starsze bachory, zapominająca dać piersi niemowlęciu, a zupy z chleba mężowi talmudziście. Najlepszy wyżeł nie węszy tak za zwierzyną, ani jej tak tropi, jak ona cały ten dzień od świtu węszyła za groszem, jak ona go tropiła...

Z zajądłości, z jaką gwałtem niemal wydzieriała za rogatką babom z kobiałek to jaj parę, to krajankę sera, to osełkę masła, aby je sprzedać w miasteczku, przechodziła w prośby, w błaganie, w płacz rzewny. Odepchnięta chłopską ręką od wozu, powracała do niego dziesięć, dwadzieścia razy, darła się na drabki, lazła w półkoszek z tyłu, czepiała się koni. Bywało chłop jej czepiec z głowy zedrze, w kark grzmotnie, kaftan na niej poszarpie, a ona nic. Jak wszczepi wyschłe palce w półdrabek, tak biegnie za podciętą nagleszkapą, targując się i lamentując naprzemian, aż do utraty tchu w piersi, aż do piany w ustach.

Wpadała tak za wozem przez szlaban, przez most, koło poczty, koło apteki aż na rynek, odpychając inne żydowice, klóćąc się z niemi, pochlebając łającemu ją chłopu, łyskając do koła niespokojnem, krwią nabiegłem okiem.

Ile kulałów dostała wtedy w plecy, ile razy zatoczyła się na stojące dokoła pompy sikawki, ile sińców wyniosła z takiej kampanii, tego nie liczyła nigdy. Jeśli tylko udało jej się zarobić choćby dziesiątkę, wracała do domu tryumfująca, radosna po tej poniewierce i zaczynała liczyć uzbierane przez cały miesiąc w takiż sam sposób miedziaki. Nigdy jakoś jednak więcej nad rubla naliczyć nie mogła. Po drugiego chodziła do brata. Stawała wtedy w progu jego pokorna, milcząca, nie posuwając się krokiem na izbę, u wyschłej piersi niosąc najmłodsze swoje, a brat już bez mówienia wiedział, co przyjsście takie znaczy.

Podnosił wtedy od roboty rudą, ciężką głowę, patrzył szklistem, wypukłemi oczyma na przybyłą, zdejmował z palca lśniący stalowy naparstek, a dobywszy brudnego mieszka, który pod pikowym kaftanem na piersiach nosił, dobywał z niego rubla i dawał go siostrze. Rubel był zawsze papierowy i zawsze w mieszku jedyny. Chciwe, latające oczy Chai nigdy nic więcej nad owego jedynego rubla wypatrzyć nie mogły. Wszystko to odbywało się w zupełnem milczeniu.

Chaja brała rubla, całowała wytłuszczony rękaw braterskiego kaftana, i szlochała z cicha. Nie bronił jej tych łez i tych dzięków Froim, mieszek wszakże co rychlej pod kaftan chował, na haftki się zapinał, po naparstek sięgał, a Chaja znikła w ciemnej niskiej sionce, chlapiąc i wzdychając.

Było tak nie rok i nie dwa, aż pewnego ranka Froim, milcząc jak zawsze, w dwóch słowach niemal kawał placu od bednarza Kolkiewicza kupił i podkasawszy poły do Trojanowskiego lasu się wybrał, bale i tarcice oglądać. Obejrzał, grosze jakie miał u siebie zadatkem dał i umówiwszy się po drodze o zwózkę kamieni na fundament, do domu pod wieczór wrócił. Tegoż jeszcze dnia zagadano w miasteczku, że się Froim Porter buduje.

Jakoż budował się.

Wysokie, niedogryzione przez kozy Kolkiewicza, chwasty wyrwano, placyk sznurem pomierzono, cztery miedzy w rogach, oznaczonych na węgly, zatknięto i zabrano się do

kopania fundamentów. Od Trojanowa tymczasem chłopci wozili kamień, cieśla po placu z fajeczką w zębach chodził, popatrywał, zwiezione belki kredą znaczył, a parobek gwizdząc wesoło lasował w skrzyni kurzące się wapno. Ten i ów stawał w uliczce, aby na »fabrykę« popatrzeć. Jeden kiwał głową, drugi szczęścia życzył, dzieci obstąpiły kopaczy, ot zwyczajnie jak zawsze, kiedy się coś na świecie buduje.

Pierwszego zaraz dnia, ba, pierwszej godziny tej »fabryki« przyleciała Chaja na plac bez tchu, zziębnięta, rzuciwszy stragan starszej swej dziewczynce na ręce. Przyleciała, obrzuciła oczyma całe to państwo i aż w ręce piasnęła od dziwu. Do brata nie poszła jednak. Bała mu się narazić, a rubel miał być wkrótce potrzebny. Dopiero kiedy przyszedł pierwszy, pokorna i milcząca wsunęła się do stancjki krawca i stanęła, jak zwykle w progu.

I Froim jak zwykle mieszka dobytej i siostrze papiera rublowy dał. Ale kiedy go w lokcie całować chciała, za rękę ją wziął i w milczeniu uliczkę przeszedł, w milczeniu Chaję po połowie placu obwiodł i dopiero kiedy w czwartej między stanęła, rzekł:

— Słuchaj Chaja. My jesteśmy dzieci od naszych rodziców i więcej nas niema. Mnie Bóg zarobku dał, a dzieci nie dał, a tobie Bóg dzieci dał, a zarobku nie dał. To jest źle...

Umilkł i zmarszczył się, jakby udzielając losowi surowej przygany.

Chaja poszłochała z cicha.

— Sz... sz... sz... — syknął Froim. — Ty nie masz płakać teraz, ty masz mnie słuchać teraz.

Chaja natychmiast otarła ręką oczy, serce jej drżeć w piersi zaczęło.

— To jest źle — mówił dalej marszcząc wielkie czoło Froim — Twoje dzieci są głodne i twój mąż jest głodny i ty jesteś głodna.

Chaja zachlipała boleśnie. Istotnie była ciągle zgłodniała; nie pamięta nawet, czy kiedy była syta...

— Sz... sz... — syknął znów przeciągle Froim. — Tobie teraz nie potrzeba płakać, tobie teraz potrzeba mnie słuchać! Twoje dzieci obdarte, twój mąż obdarty i ty sama obdarta.

Chaja załkała głośno. Och, och, jakże dawno nie miała całych trzewików na swoich biednych, obrzmiałych od zmęczenia nogach... Jakże dawno Abramek koszuli na grzbiecie nie ma, a Hudes bez kaftana całą zeszłą zimę przebiedować musiała.

— Sz... sz... sz!... — syknął Froim po raz trzeci. — Twoje dzieci nie mają własnej izby i ty nie masz własnej izby.

Chaja wybuchnęła gwałtownym płaczem, ściskając w rękę papiera rublowy, najwymowniejszy dowód prawdy słów braterskich.

— Sz... sz... sz!... — uciszył ją Froim przeciągłym syknięciem, a kiedy się uspokoiła, tak mówił dalej.

— Ty widziałas, co ja ciebie oprowadziłem po połowie placu i po połowie fundamentu, od tych tam dwóch między do tych tu dwóch między. Ten pół domu, co tu stanie na tych pół fundamentu i pół plac, nu, to będzie twój dom i twoich dzieci dom. Ja tak chcę!...

Podniósł dużą, rudą głowę i zlekka wydał wargi i policzki.

Chaja padła na ziemię, jakby nieprzytomna, całując nogi i kolana brata. Łzy leciały, jak grad po jej wychudłej i zczerniałej twarzy, jęk i śmiech wstrząsał jej piersią, wyschłe ręce ścisnęły konwulsyjnie wiszące u pustej piersi niemowlę. Była blizką szafu. Jej dom! Jej dom! własny dom i męża i dzieci...

Zerwała się i jak obłąkana, do izby swojej biegła, nie widząc po drodze nikogo.

Jej dom! jej dom! jej własny, własny dom!

Froim sapiąc chodził po placu do późnej nocy.

Szła odtąd fabryka z podwójnym pośpiechem. Rudy krawiec co chwila robotę rzucił i poważny, milczący, szedł na plac, stawał, gładził brodę i patrzył na swój dom, wyrzynający się smolnym, żółtym zrębem z fundamentów. Z rzemieślnika rósł on tutaj na obywatela miasta.

Ale kiedy od wracającego ze stepowymi wołami Szlejfmana zażądał Porter swego zarobnego grosza, Szlejfman uroczyście wobec rabina zapewnił, że depozytu żadnego nie brał, a handel własnymi pieniędzmi prowadzi.

Tejże nocy zakipiało w miasteczku. Rudy krawiec powiesił się w nowej swojej posesyi na trojanowskiej belce, którą właśnie zaciągać miano.

Był ranek jasny, cichy, przejrzysty. Cienki, biały sierp miesięczny dogasał wysoko na niebie, roztapiany w blaskach dnia i słońca. Nad domostwami trzepotały się gołębie, z łąk blizkich biła świeżość i woń sianokosów.

Lejba Rabinowicz wracał z modlitwy do domu. Śmiertelną chustę na ramionach miał, w rękę niósł Thorę w aksamitnym worku. Idąc modlił się jeszcze. Cienkie jego wargi poruszały się nierównym nerwowym szeptem, przechodzącym od czasu do czasu, jakby w brzęk pszczelny, którym chwalił Pana. Naraz stanął. Od rynku bił krzyk i niezwykła wrzawa. Jak ognisko za podmuchem wichru, to wznaga się, to przygasa, tak krzyk ten rósł, to opadał, za podmuchał niewidzialnej burzy.

Stał jeszcze Lejba i słuchał, kiedy przez drogę jego przeleciał z gwizdem jeden wyrostek, potem drugi, potem kilku naraz, aż w cichą przed chwilą uliczkę wywaliła się cała tłuszcza rozhukanego żydowstwa z krzykiem, ze świstem, z wyciem, z wyrazem nienawiści w zapalonych oczach, z śliną na ustach, z błotem i kamieniami w rękę.

W pośrodku niesiony przez dwóch obszarpańców, leżał na tragach obnażony trup Froima Portera. Wisielec wyglądał strasznie. Ciężka jego ruda głowa odskakiwała z głuchym łoskotem od zbitych na prędcie żerdzi; grube jego nierozprostowane z śmiertelnego kurczu kolana sterczały wysoko; na sonej twarzy i w szeroko otwartych, na wierch wysadzonych oczach, malowała się groza i okropność skonu. Twarz ta i ciało samobójcy zarzucone błotem, oplute, potłuczone kamieniami, przedstawiały ohydny widok.

Cofnął się przed nim w pierwszej chwili Lejba Rabinowicz. Ale wnet się opamiętał, rozepchnął wyjąca kupę, zerwał z siebie śmiertelną koszulę, rzucił ją na znieważonego trupa i workiem z Thorą przycisnąwszy, rękę na niej położył.

Przeraźliwy, okropny wrzask przeleciał po całym tłumie. Po wrzasku tym była krótka chwila ciszy, jakby bezmiernego zdumienia. W ciszy tej słyhać było trwożliwy świergot wystraszonych i zapadających popod szczyty wróbli.

Wtedy to krzyknął ktoś po raz pierwszy owo obelżywe: Jakton!

— Jakton! — wrzasnął tłum cały za nim, a tysiąc piersi podniosło się przeciw obrońcy nieszczęsnego trupa. Była chwila, w której zdawało się, że go ta tłuszcza stratuje. Zerwał mu ktoś czapkę z głowy, ktoś drugi zrzucił jarmułkę, szarpano na nim odzież i obdarto go z chałata. Złorzeczenia, wrzaski i przekleństwa zwróciły się do niego. Bliżsi pluli mu w twarz, popychali, nawet dalsi rzucali nań błotem. Wyrostki świstały w palce, krzycząc: Jakton! Jakton!

Lejba Rabinowicz ani na krok się nie cofnął. Prosty, wyniosły, chudy, szedł dużym krokiem obok tragów w kamizelce tylko, z pod której z przodu i tyłu wyglądały sznurki; obnażoną głowę wysoko niósł, jedną rękę owiniętą zakonnym rzemieniem na piersiach trzymał. Drugą przyciskał na wisielcu aksamitny worek z Thorą. Ta świętość broniła od zniewag nieszczęsnego trupa.

Tak doszli aż za kirkut, gdzie Froim Porter w rowie zagrzebanym został, wśród klątw i złorzeczeń motłochu. Wtedy odebrał Lejba z rąk tragarzy chustę swą i Thorę, i do miasta wracał. Tłum rozdzielił się teraz. Jedni zostali za kirkutem, miotając na mogiłę samobójcy chrust suchy i kamienie polne, drudzy biegli z gwizdem i świstem za Lejbą, krzycząc: Jakton! Jakton!

Przyrastało do niego to przezwisko, jak nowa skóra na węzowym grzbiecie.

Pod wrzaskiem tym szedł Lejba Rabinowicz śmiałym, pewnym krokiem, zwiniętą chustę śmiertelną i Thorę pod pachą trzymając, wysoki i prosty, jakby przez tę godzinę urągowska o głowę urósł całą.

Tylko pot zaschły przylepił mu do skroni czarne, rzadkie włosy, tylko błada twarz jego bledszą się jeszcze zdawała, a złotawe, zmrużone oczy patrzyły gdzieś daleko, daleko.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/jakton/>

Tekst opracowany na podstawie: Z jednego strumienia. Szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej, Warszawa 1905, Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0369-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.